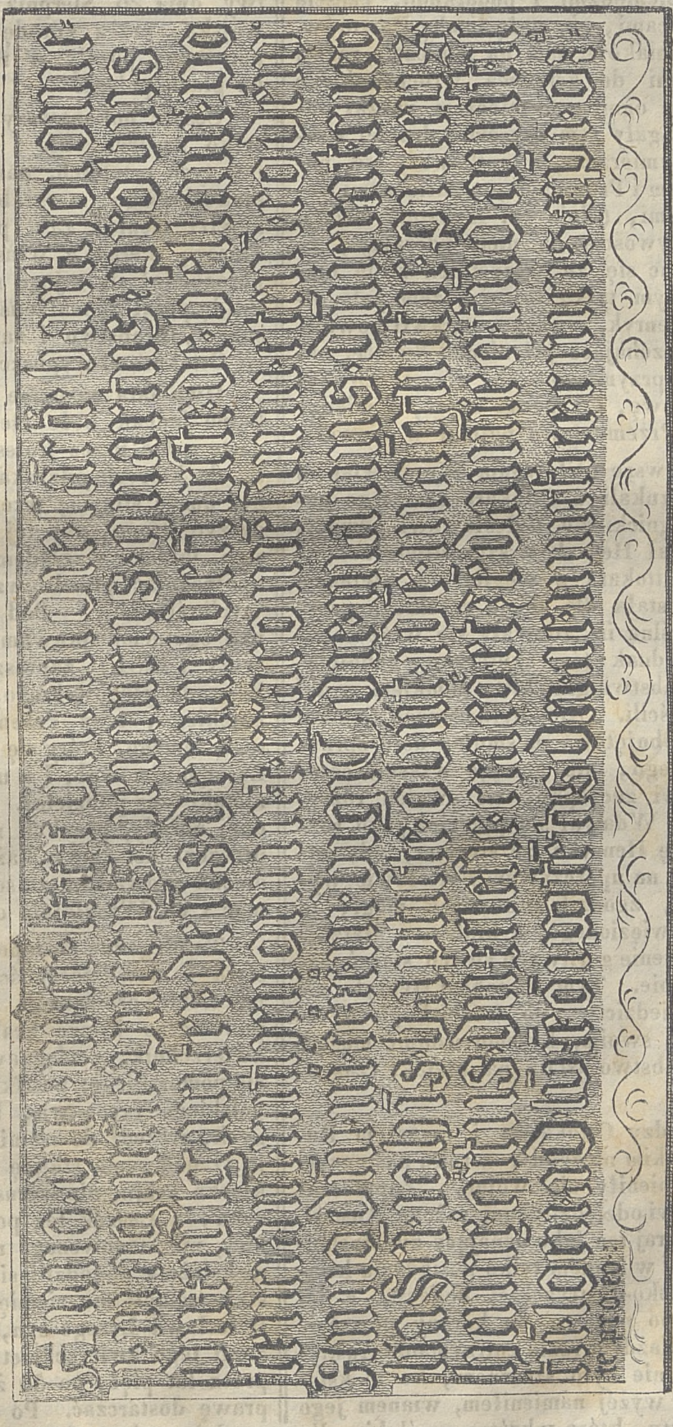
Przyjaciel Ludu.

ROK ÓSMY. **No. 20.** Leszno, *dnia 13. Listopada* 1841.



Tablica kamienna w kościele Świętego Krzyża w Wrocławiu.

Grobowiec Henryka Łagodnego (Probus) w Wrocławiu.

(Dalszy ciąg.)

Pozbawiony tym sposobem Bolesław spodziewanéj od Brandeburczyka pomocy, szukać jéj musiał w odleglejszych stronach. Zwerbowawszy częścią pieniędzmi i podarkami, częścią prostemi obietnicami, nie małą liczbę Bawarów, Szwabów i Miśniaków, sam na ich czele razem z trzema synami do księstwa wrocławskiego wkroczył, i one ogniem i mieczem zaczął pustoszyć. Nadciągały tym czasem z drugiéj strony wojska sprzymierzone, a spotkawszy się, pomiędzy Skorolcem i Proczanem, z zaciężnemi Bolesława Niemcami, (dnia 18. Kwietnia 1277), z taką natarczywością na nich uderzyły, że Bolesław widząc się ze wszystkich stron otoczonym, z jednym tylko towarzyszem pole bitwy opuścił. Henryk, syn jego, sprawił powtórnie do boju pierzchające już niemal Niemce, natarł z nimi na sprzymierzonych, złamał ich szyki, pobił na głowę, i znaczną część, a między innymi księcia Przemysława pojmał w niewolę.

Gdy się pierwsze usiłowania Wrocławianom nie powiodły, szukali u Ottokara czeskiego nowéj przeciw lignickiemu Bolesławowi pomocy. Udział, jaki miał Henryk w szczęśliwie zakończonéj przez Ottokara z węgierskim Stefanem wojnie, jego stała dla domu czeskiego przychylność, pomyślną im zdawały się wróżyć nadzieję. Aby jednak tém skuteczniéj zobowiązać Czecha, hrabstwo glatzkie z zamkiem w dożywocie mu puścili. Nie byłby może Ottokar w innym razie obojętnym na smutną dolę sprzymierzeńca swojego, ale gotując właśnie cesarzowi Rudolfowi zaczepkę, sił swoich rozrywać nie chciał. Wdawał się przecież jako rozjemca w sprawę Henryka ze stryjem, gdy zaś widział, że nic na uporczywym Bolesławie wymódz nie może, zgodził strony jak mógł, to jest: kosztem uwięzionego, a hrabstwo glatzkie jako wynagrodzenie gorliwych swych starań zatrzymał dla siebie. Tym sposobem Henryk, nie tylko całego dziedzictwa po arcybiskupie Władysławie, stryju swoim, Łysemu ustąpić musiał, ale jeszcze hrabstwo Glatz na niejaki czas utracił.

Tlejące między Ottokarem i cesarzem Rudolfem habsburskim niezgody, w roku następnym na otwartą zamieniły się wojnę. Zaprzeczał cesarz Ottokarowi odziedziczonéj z żoną Austryi, twierdząc, że kraj ten jako uznający zwierzchnictwo cesarzów, i w lenném tylko posiadaniu książąt linii bawarsko-austryackiéj będący, z jéj wygaśnieniem po mieczu, do korony powrócić powinien. W każdym razie zatrzymanie Austryi przez Ottokara nie było słusznem, bo to księstwo było, jak wyżéj namieniłem, wianem jego żony, Małgorzaty, którą wkrótce po ślubie, dla podeszłego wieku porzucił, a Kunegundę, córkę Rościsława (Ruskiego) zaślubił.

Cóżkolwiek bądź, Ottokar wszedłszy raz w posiadanie tego kraju, orężem chciał się w nim utrzymać. Wspierał go w téj potrzebie wrocławski Henryk, spólnie z innymi szlązkimi książęty; a nawet był uczestnikiem krwawéj bitwy, dnia 26. Sierpnia 1278., w któréj czeskie wojska, przez zdradę Morawianina na głowę porażone, poszły w rozsypkę, a sam Ottokar na placu poległ.

Cesarz pokonawszy nieprzyjaciela, zajął nie tylko Austryą, ale i dziedziczne jego Czechy, i w tych ostatnich, namiestnikiem i rządzcą Ottona Długiego, margrabię brandeburskiego, ustanowił; Henryk zaś, po stracie sprzymierzeńca, którego nieraz z własną szkodą się trzymał, porozumiał się z jego następcą: córkę jego Mathildę pojął w małżeństwo, i tym zapewne sposobem, hrabstwo i zamek glatzki, w dożywocie Ottokarowi wypuszczone, napowrót odzyskał.

Dwa lata następne upłynęły spokojnie: markotno jednak było Henrykowi patrzeć na wydarte sobie przez Bolesława lignickiego powiaty, do których odzyskania wstępnym bojem, nie był dosyć silnym; trzeba więc było w inną uderzyć stronę, aby téj straty powetować. Podstęp, jakiego względem niego użyto, zdawał się upoważniać przedsięwzięcie zarówno niegodziwych środków. Pod pozorem naradzenia się nad ogólnemi sprawami, zwołuje zjazd do Baryczy (1281): zaprasza na niego stryja swego Konrada głogowskiego, i synowca Henryka lignickiego, oraz Przemysława wielkopolskiego, tego samego, który się za nim zbrojno, przeciw Łysemu ujmował, i z uwięzionym niewolę przez niejaki czas podzielał. Nie spodziewając się żadnéj zdrady, przybyli na oznaczone miejsce zaproszeni książęta, każdy z nich, mały tylko orszak prowadząc za sobą; tam ich Henryk pojmać i do Wrocławia odesłać rozkazał.

To niegodne postępowanie, dowód wiarołomstwa i niewdzięczności Henrykowéj, oburzyło na siebie ościennych książąt. Leszek Czarny, podówczas książę krakowski, i całéj Polski zwierzchnik, zaciągnąwszy od Mestwina, księcia pomorskiego, posiłki, na czele całego małopolskiego rycerstwa, broniąc sprawy uwięzionych, wszedł do ziemi wrocławskiéj, zniszczył ją, i pod samą stolicę podstąpił. Kiedy jednak klęska kraju, nie wzruszyła twardego serca Henryka, a Leszek też powrócił do swojéj dzielnicy, nic stanowczego nie zdziaławszy, uwięzieni książęta pogodzili się z Henrykiem; Przemysław ustąpił mu ziemię wieluńską, Henryk zaś, Bolesława Łysego syn, i Konrad głogowski, uznali jego zwierzchnictwo, i zobowiązali mu się przez lat pięć, po 50 żołnierzy, na każdą wyprawę dostarczać. Po tak korzystnie zawartéj ugodzie, miasto Wrocław, Nowytarg i Swidni-

ca, w nagrodę okazanéj wierności, nowe od Henryka wrocławskiego otrzymały przywileje.

Nie poprzestał jednak na ściągniętéj zdobyczy Henryk. Widząc Przemysława dosyć powolnym na swoje żądania, z całéj dzielnicy go wyzuć, a przynajmniéj nowe od niego przyzwolenia uzyskać zamierzył. Tym końcem zmówiwszy się z niechętnymi panu swemu baronami, a mianowicie Sędziwojem Kasztelanem kaliskim, osobistą do Przemysława urazę mającym, r. 1284 z nienacka podstąpił pod Kalisz, zajął zamek, i swoją go załogą obsadził. Na próżno się o jego odzyskanie kusiło wielkopolskie rycerstwo, Przemysław musiał zgodnym sposobem odstąpić Kalisza, i nie prędzéj do niego, aż we dwa lata powrócił, i to, jak niektórzy utrzymują, w zamian za Ołobok, w którym, jeszcze własnym kosztem, twierdzę na użytek Szlązaka zobowiązał się zbudować.

Zyskawszy Henryk co mógł na Przemysławie, tam znowu swoją obrócił uwagę, zkąd mniejszego jeszcze oporu mógł się spodziewać. Wyjęcie poddanych duchownych od powinności należnych książętom, bogaciło wprawdzie biskupstwa, ale w ogólném urządzeniu kraju, wielkie pociągało za sobą niedogodności. Im więcéj dziedzin wolnych było od opłat i robocizny skarbowéj, tém ciężary te przykrzejszemi były dla innych. Powstawały ztąd słuszne poniekąd szemrania, które dla panujących nie mogły być obojętne. Z drugiéj strony, książęta lękali się zawsze wzrastającéj duchowieństwa potęgi i nie zaniedbali z każdéj okoliczności korzystać, w któréjby ją ukrócić mogli. Już stryj Henryka, Bolesław Łysy, zamianą dziesięciny wytycznéj na pieniężną daninę, położył niejaką granicę wzmaganiu się bogactw wrocławskiego Biskupa; Henryk nie poprzestając na tém, dotychczasową nawet jego możność okrzesać postanowił. Tym końcem, nietylko rozkazał wnosić do swego skarbu dziesięciny Biskupowi należne, ale jeszcze pod pozorem, że Biskup na wyprawę wojenną żadnéj mu w ludziach nie dostarczył pomocy, do czego jako lennik był obowiązanym, albo, jak chcą inni, nie mogąc na nim wymusić nałożonéj kontrybucyi, miasta Odmuchów i Nissę, oraz zamek Edelstein, do biskupstwa należące, zajechał, i swymi ludźmi obsadził. Tomasz II., na on czas Biskup wrocławski, wyprawiał kilkakrotnie poselstwa do książęcia, przekładając mu samowolność jego postępku; a gdy te, a nawet osobista z Henrykiem rozmowa, żadnego nie przyniosły skutku, przed sąd duchowny zaniósł zażalenie swoje. Siedział w ów czas na arcybiskupiéj stolicy w Gnieźnie, Jakób Swinka; ten mając i nad biskupstwem wrocławskiém duchowne zwierzchnictwo, zwołał zjazd biskupów do Łęczycy, na którym klątwę na Henryka i na całą jego dzielnicę, a w szczególności na miasto Wrocław rzucił. Tomasz zamknąwszy skarby kościelne, w kościele Panny Maryi, na Piaskach (1), z duchowieństwem świeckiém i Dominikanami, opuścił gród wyklęty, i udał się naprzód do Polski, a potém do Lugdunu, w nadziei, że na mającym się właśnie odprawiać tamże synodzie powszechnym, mocniejszą jeszcze zadosyć uczynienia kościołowi zyszcze rękojmią. Duchowni zakonu Franciszkańskiego, szczególną dla księcia mający przychylność, nie poszli za przykładem Biskupa, pozostali w Wrocławiu, a nawet pomimo rzuconéj klątwy na miasto, obrządków kościelnych sprawować nie poprzestali.

Wszakże, chociaż Biskup wrocławski, przed zgromadzonymi w Lugdunie prałatami, użalał się na gwałt sobie wyrządzony, żadnego jednak zadosyć uczynienia nie uzyskał, bo Henryk, wyprawiwszy także na ten zjazd posły swoje, potrafił wyjednać zniesienie włożonéj na siebie klątwy, bez obowiązku wynagrodzenia krzywd Biskupowi poczynionych.

Tym sposobem, nic nie wskórawszy w Lugdunie Tomasz, powrócił do Szląska, znalazł przytułek u Władysława, księcia Opolskiego, i przez kilka lat, w dzielnicy jego, w mieście Raciborzu przesiadywał. — Ścigała go i w tém ukryciu nienawiść Henryka, dopominał się naprzód o jego wydanie; ale gdy książę opolski praw gościnności nie chciał przełamać, Henryk zbrojno podstąpił pod miasto, i ono obległ. — Trzymali się przez niejaki czas oblężeni Raciborzanie, a kiedy głód coraz żywiéj począł im dokuczać, Tomasz, nie chcąc być dłużéj przyczyną nieszczęścia miastu, wśród którego murów bezpieczne znalazł schronienie, w całéj biskupiéj okazałości, na czele licznego duchowieństwa, poszedł do obozu Henryka, i zdał się na jego łaskę. Widok powagi i śmiałego przedsięwzięcia prałata, wzruszył i przeraził Henryka serce; sam przeciw niemu wyszedłszy, podał mu dłoń pojednania, o przebaczenie prosił, i sprawę całą w pobliskim kościele ś. Mikołaja uroczyście zagodził. — Za powrotem do Wrocławia pragnąc zatrzéć uczynioną religii zniewagę, obdarzył szczodrze kościoły, i na pamiątkę zgody z Biskupem, założył nowy kościół, pod nazwą Świętego Krzyża, (2) w bliskości kościoła katedralnego. — Ten postępek zjednał mu imię cnotliwego *Probus*, a raczéj Łagodnego (der Mildefürst), pod jakiém znanym jest w historyi.

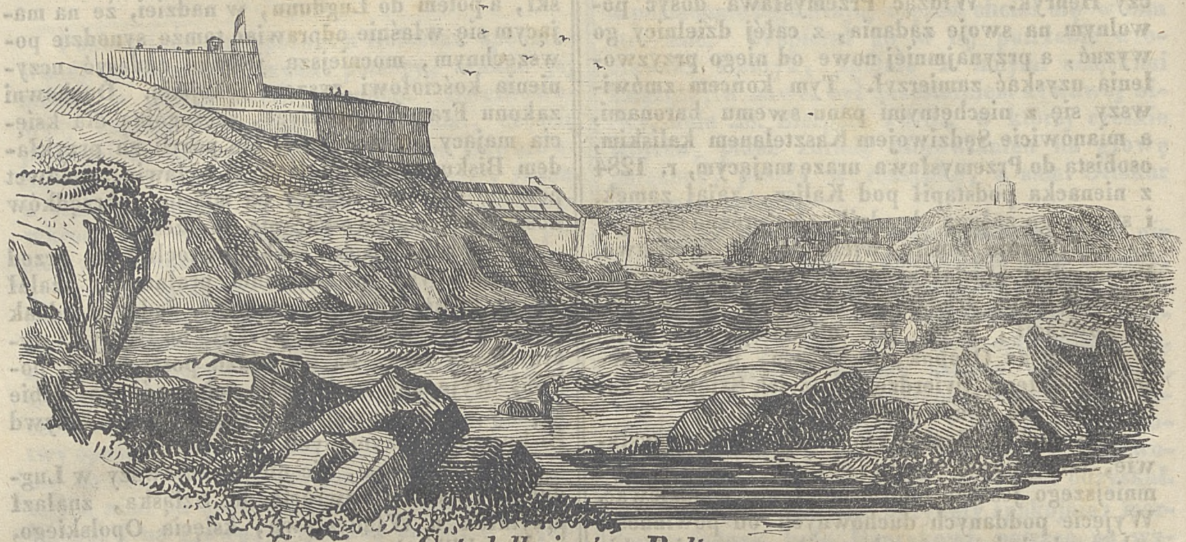
(Dalszy ciąg nastąpi.)

Port i marynarka angielska w Plymouth.
(R. 1839.)

(Dalszy ciąg.)

W tyle okrętu na pierwszym pomoście są pokoje Admirała, składające się z sali sądowéj, jadalnéj, gabinetu i pokoju sypialnego. Wszy-

(1) Teraz ten kościół nazywa się Sandkirche.
(2) Zob. P. L. r. 2. T. I. N. 10., str. 73.



Cytadella i góra Balten.

stkie, jak najpiękniéj umeblowane i dywanami wysłane. Światło wchodzi kilkoma wielkiemi oknami na boku będącemi, i często można tam widzieć fortepian, bibliotekę i inne sprzęty, jakich tylko dom na lądzie dostarczyć może. — Udawszy się do drugiego pomostu, widzimy pokoje innych officerów, główną salę jadalną i czytelnią, po bokach zaś działa i żołnierzy morskich. Trzeci jest podobnie urządzony, a pod tym nakoniec są magazyny żywności, ciężary i woda świeża w czworograniastych blaszanych beczkach. — Tak więc można powiedzieć, iż okręt pierwszéj klassy ma trzy pomosty, i dwa pokłady czyli trzy piętra, gdzie są działa, i dwa na inny cel przeznaczone.

Uważać tu jeszcze potrzeba, iż na jednym z pomostów znajduje się zbrojownia, gdzie jest ręczna broń dla majtków, rozdawana tylko w czasie bitwy lub przy lądowaniu na obcych niezamieszkałych brzegach. — Na jednym, więzienie, lazaret i apteka. Każden pomost ma dwa lub trzy kwadratowe otwory, prowadzące do środka okrętu, i przy każdym szyldwach pełni służbę.

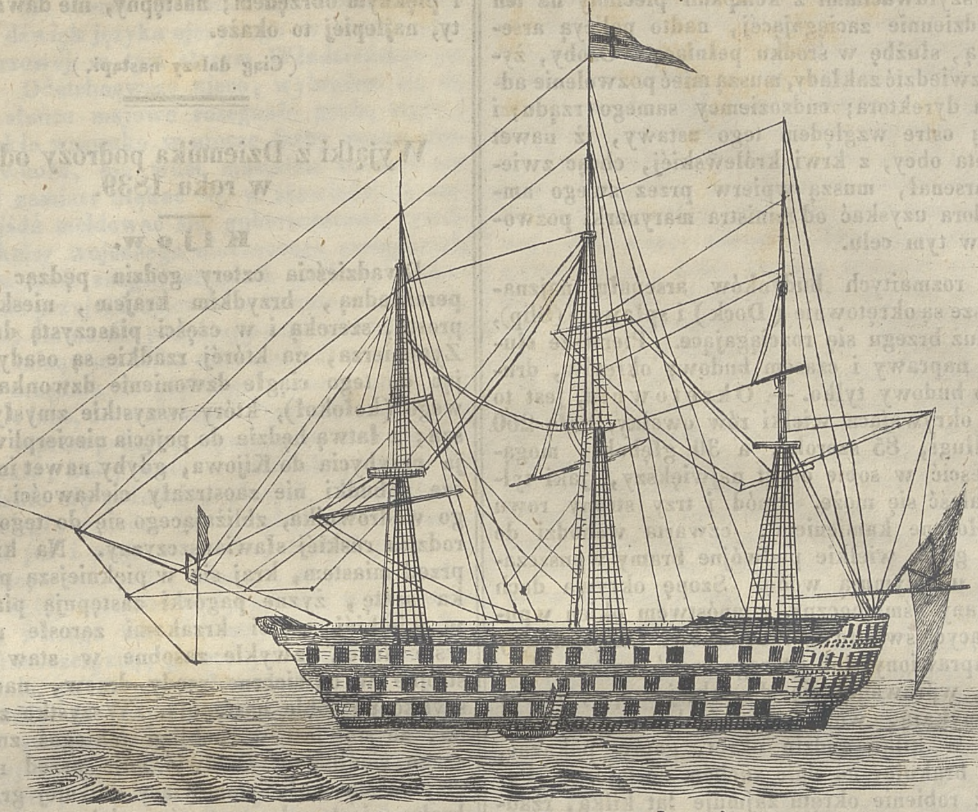
Z trzech masztów utrzymujących w równowadze okręt, środkowy jest największy i ma na wierzchu galeryą do zakładania lin, żagli i obserwacyi. Do téj wieży zamku wodnego, prowadzą z dwóch stron drabinki z sznurów zrobione, które z szybkością zadziwiającą nawet w czasie burzy są przez majtków przebiegane. — Baty, czołna i kotwice wiszą zewnątrz okrętu, który jest czarno malowany, z trzema tylko pasami białemi, liczbę piętr oznaczającemi.

Działa na ostatecznem piętrze, co pominęliśmy wprzódy powiedzieć, są najcięższego zawsze kalibru, i dochodzą do trzydziestu kilku funtów. — Te ogromne massy żelaza są na szrubach, tak, iż z łatwością nabijane i chędożone być mogą, nadto nie są luntami zapalane, lecz iskrą, kurkiem zwyczajnym, za pociągnięciem sznurka sprawianą.

Dawszy krótki opis okrętu liniowego, wypada teraz powiedzieć, jakie ma przywileje i jakie odbiera honory, wchodząc do obcych lub swoich portów. Najpierwszym jest, iż nie płaci cła żadnego latarniowego; powtóre, nie płaci cła od żywności i trunków, dla załogi kupowanych. — Co do honorów, te odznaczają się liczbą wystrzałów, podług rangi komenderującego okrętem dawanéj. Największa jest 21 salutów, do któréj wszyscy książęta, znajdujący się na okręcie, mają prawo; inne mniejsze, zaczynając od 18tu, odbierają officerowie, stósownie do ich stopnia.

Telegrafy, za pomocą których okręta między sobą, lub między fortecami komunikują, są małe chorągiewki, na najwyższym punkcie masztu zawieszane. — Jest ich dziesięć, każda rozmaitego koloru i osobny numer, zaczynając od 1go, mająca. — Rozmaite łączenie liczb, wywieszając kilka chorągiewek zarazem, stanowi rozmaite wyrazy, w książce na to przeznaczonéj znajdujące się. — I tak w pięciu minutach można zrobić zapytanie, z jednego peryodu złożone, — np. zkąd przybywasz? — jak się nazywasz? i t. p.

Wracamy się teraz do naszego portu. — W Hamoz leży ciągle okręt trzypiętrowy z banderą admirała na straży będący, i gotowy w każdym



Okręt trzypiętrowy stojący na kotwicy.

momencie wyjść na morze, gdyby potrzeba wymagała. — O podal od niego, wice-admirała, strzeże arsenału, i również jest na stopie wojennéj. — Ostatni, zdobyty na Hiszpanach, noszący nazwisko Śgo Józefa, jest cały z drzewa machoniowego. — Z starych okrętów daléj stojących, „Więzienie" zasługuje najbardziéj na uwagę, dawniéj Belerophon zwany; jest to ten sam, któremu Napoleon w r. 1815. się poddał; dzisiaj przeznaczony dla niewolników skazanych na wygnanie do Australii. Dopóki okręt nie jest gotów do przewiezienia ich w tę część świata, pracują koło robót publicznych dziesięć godzin na dzień, mają jednak zawsze wszelkie wygody, przytém doktora i księdza, którzy razem z nimi mieszkają. — Po nim jest szereg rozmaitych starych okrętów i nowych, tutaj budowanych, na mil kilka rozciągający się.

Przypominając położenie portu, muszę powiedzieć, iż opuściwszy brzegi Stonhousu i postępując w zdłuż rzeki Tamar, widzimy na lądzie naprzód łazienki, późniéj wszedłszy w Hamoz domy admirała i gubernatora, a raczéj małe pałace, nakoniec najważniejszą część portu i miasta, to jest: arsenał morski, (Deck-Yard.)

Jest to, można powiedzieć, miasto w mieście, gdzie ogrody, kanały, domy, fabryki, warsztaty i składy rozmaite się znajdują. Moc ludzkiego przemysłu, obracając robotę, wyprzedzając rąk tysiące, tworząc nieznane dzieła w najwyższym pokazuje się tutaj stopniu. Lubo dwa tysiące ludzi w czasie pokoju, a cztery w czasie wojny, pracuje, przecież taka jest karność i porządek, iż zdaje się, że jedna tylko rozumna machina, porusza wszystkie siły, działa niewidzialną mocą, i niememi figurami kieruje. Każden człowiek, przedmiot i działanie, ulega sile głównéj, a ta podrzędnéj, mającéj plan pewien, podług którego postępując, omylić się, ani zboczyć nie może. Arsenał leży nad wodą, częścią w dolinie w skale wykutéj, częścią na górze, i zajmuje razem 72 morg. Mur go opasujący, 30 stóp wysoki, ze strony portu wchodzi głęboko w wodę, od lądu przedziela go od miasta. Rzecz zadziwiająca, iż prawie cała ta przestrzeń nie jest własnością narodu, lecz prywatną pana Sentobyn (St. Aubin). Rząd dzierzawi ją na lat 22, płacąc rocznie za każden morg 50 szelingów, i po każdym czasie, odnawiając kontrakt, 534 funt. szterl. dodaje.

Od portu wchodzi się przez wschody w kilku miejscach zrobione, i w wodę wpuszczone; od lądu wielką bramą, przy końcu ulicy głównéj Forstreet położoną. Wszystkie wejścia obsadzo-

ne są szyldwachami z kompanii piechoty na ten cel codziennie zaciągającéj, nadto policyą arsenałową, służbę w środku pełniącą. Osoby, życzące zwiedzić zakłady, muszą mieć pozwolenie admirała dyrektora; cudzoziemcy samego rządu; i tak są ostre względem tego ustawy, iż nawet książęta obcy, z krwi królewskiéj, chcąc zwiedzić arsenał, muszą wpierw przez swego ambassadora uzyskać od ministra marynarki pozwolenie w tym celu.

Z rozmaitych budynków arsenału najznaczniejsze są okrętownie (Dock) i spławnie (Slip), w zdłuż brzegu się rozciągające. Pierwsze służą do naprawy i czasem budowy okrętów, drugie do budowy tylko. — Okrętownia, jest to szopa okrywająca wielki rów owalny, koło 260 stóp długi, 85 szeroki, a 30 głęboki, mogący mieścić w sobie okręt największy, jaki tylko znaleść się może. Spód i trzy strony rowu są wyłożone kamieniem, czwarta wchodzi do portu, gdzie wielkie podwójne bramy wpuszczają lub wstrzymują wodę. Szopę okrywa dach miedziany ośmioboczny, z mnóstwem okien wpuszczających światło dla robotników. Okręt, mający być naprawiony, lub którego część ma być odnowioną, wprowadza się do takiéj szopy, bramy się zamykają, woda w rowie bywa pompowana, i w kilka godzin okręt, gotów pokazać, co mu brakuje, na dnie suchém zostaje. — Ponieważ robienie okrętu zajmuje lat kilka, rzadko przeto budują w okrętowniach, gdyż te zawsze są potrzebne do napraw, lub opatrywań, a będąc wielce kosztowne, ich liczba musi być ograniczoną. Lecz na to są inne miejsca, jak późniéj zobaczymy. — Okrętowni jest 5., największa z nich podwójna (Double-Dock), ma być jedyną co do wielkości w całéj Anglii, i jest w stanie pomieścić dwa największe okręty w jednym czasie. Niedaleko od niéj jest inna szczególna przez swój dach, z tektury papierowéj, pokostem powleczonéj. Sposób ten pokrywania, po raz pierwszy użyty tutaj dla próby, ma być daleko tańszy od innych i zupełnie odpowiadać swemu celowi. Sama miedź bowiem, użyta do jednéj okrętowni, kosztowała 3,428 funt. szterl.

Spławnia (Slip), jest to także szopa z dachem miedzianym, wielką wydrążoną przestrzeń zajmująca. Rów w niéj różni się, iż jest płytki z pochyła ku portowi spadający, nie wyłożony jak pierwsze kamieniami, i nie mający bram żadnych. Aby łatwiejszém było ześliznięcie się okrętu, jak to wyraz angielski Slip pokazuje, część najwyższa rowu jest w jednéj linii z powierzchnią wody. — W szopie takiéj na rusztowaniu budują okręt, który kiedy skończony w czasie wysokiego morza, ześlizga się do portu, co nazywają spuszczaniem (Lunek), i tam dopiero na kotwicy maszty odbiera.

Spuszczanie i chrzest okrętu jest wspaniałym i pięknym obrzędem; następny, nie dawno odbyty, najlepiéj to okaże.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wyjątki z Dziennika podróży odbytéj w roku 1839.

Kijow.

Dwadzieścia cztery godzin pędząc bryczką perekładną, brzydkim krajem, nieskończenie prostą, szeroką i w części piasczystą drogą, od Żytomierza, na któréj rzadkie są osady, dodając do tego ciągłe dzwonienie dzwonka pocztowego (kołokoł), który wszystkie zmysły zagłusza; a łatwą będzie do pojęcia niecierpliwość moja przybycia do Kijowa, gdyby nawet inne wyższe pobudki nie zaostrzały ciekawości polskiego wędrownika, zbliżającego się do tego miasta, rodzica ruskiéj sławiańszczyzny. Na kilka mil przed miastem, kraj się w piękniejszą przyobleka szatę, żyzne pagórki zastępują piasczyste, w wielkiéj części krzakami zarosłe równiny, wsie duże, zwykle zasobne w staw wielki, strojne w odwieczne rzędy drzew, nad drogą, szybko po sobie następują. Wszystko zapowiada, że się jest w pobliżu jakiegoś znaczniejszego siedliska. O dwie mile przed miastem, ciągnie się wał, stanowiący dawniéj granicę obrębu miasta; droga w tém miejscu spuszcza się w głęboki wąwóz, i w nim się ciągnie czas niejaki. Tędy zapewne Bolesławy zmierzali z swemi hufy do Kijowa, polotnie, bo pewni zwycięztwa, rozbudzając echa pieśnią: „Boga Rodzica“, krająe powietrze skrzydłami husarzy, tędy znów pewnie wracali do ojczyzny, promienni chwałą, obciążeni łupami. W jednéj chwili odstwarzałem całą świetną przeszłość, gdy mnie doleciał szczęk, ale nie broni, tylko kajdan. Nie było tam słychać śpiewów, tylko jęki; dziwném zrządzeniem losu, w tém miejscu, śród tak uroczych dumań, spotkałem poczet wygnańców, przeznaczonych na ofiarę syberyjskim otchłaniom, złożony z synów téj ziemi, o których praojców potędze marzyłem. Bolesny ten widok zmroził roje uczuć, które kołysały wyobraźnią. Zabłysły złocone kopuły kijowskiego grodu, lecz wnet je otoczyła gruba, chłodna mgła, wszystko mrocząca, jak gdyby natura zgadzała się z usposobieniem méj duszy, gdzie po chwilowém zajaśnieniu przeszłości, nastąpiło zimno i mrok teraźniejszości. Stanąłem przed rogatką; przerzucono mi rzeczy, pomazano mi paszport, wreszcie puszczono. Z głuchym turkotem toczyła się bryczka, po szerokich, czystych, drzewem wykładanych ulicach; dzwonek pocztowy odjęto, bo nie wolno z nim wjeżdżać w miasta gubernialne: mgła tak była grubą, że zaledwie dozwalała rozeznawać domy, cerkwie, pałace, ogrody, jary, z których się Kijow składa. Zajechałem

wreszcie do oberzy na Peczarsku. Mile mi zabrzmiał dźwięk języka ojczystego w ustach służby oberzowéj w tym starym Władzimirzowym grodzie. Odetchnąwszy nieco, wybrałem się do miasta; słońce majowe rozegnało grubą mgłę i przyoblekło wszystko w urocze farby swego pięknego światła, ale wnet musiałem zmienić tok myśli, i zamiast błąkać się w sławiańskiéj stolicy, pojśdź meldować się gubernatorowi cywilnemu, który wojennego nieobecnego zastępował, do czego mnie znaglił urzędnik policyi, czekający już na przyjeżdzających w bramie oberzowéj. Taka jest forma dla podróżujących; poddałem się pod nią, minąwszy kilka ulic, zawiódł mnie wspomniony urzędnik do pięknego pałacu, ale, jak wszystkie inne, drewnianego. Przeczekawszy z pół godziny w przedpokoju, wpuszczono mnie do pana jenerała, który mnie w szlafroku, mimo że już zbliżało się południe, przyjął. Chociaż ledwie ubiegła godzina jak przybyłem do miasta, wiedział już i moje nazwisko, i zkąd jadę, co mnie mocno zadziwiło, wiedząc, że jestem u dyrektora całéj administracyi, nie zaś u dyrektora policyi, którego tam policmejstrem zowią. Łamaną francuzczyzną, grzecznym dość tonem, zapytał mnie, po co przybyłem do Kijowa? Na mą odpowiedź, że jedynie dla zwiedzenia miasta, wyraził swe zadziwienie, mówiąc, że tu zwykle nie przyjeżdżają podróżni, nie mający interessów prywatnych; zalecił mi spokojne zachowanie się, jako też bezzwłoczne udanie się do Archireja Innocentego, dla otrzymania kogoś, który mi miał wskazać ciekawości miasta, obrócił się i wyszedł z pokoju, nie prosząc nawet, by usieśdź przez cały ciąg rozmowy. Wychodzę szczęśliwy, że przecież będę mógł przebiedz po mieście, gdy przy bramie spotykam tego samego urzędnika policyi, czekającego, by mnie prowadzić do Archireja: przekonałem się, że rada pana gubernatora była pilnym rozkazem; idę więc do Archireja, tak już rozdrażniony, że nie uważam na to, co mnie otacza. Urzędnik odprowadza mnie aż do przedpokoju, po czém żąda nadgrody za nieproszone usługi. Po kilku chwilach czekania, wprowadzono mnie do porządnego pokoju, gdzie wnet ukazał się Archirej, dość poważnéj a przy tém bystréj twarzy i postaci; zawiadomiony od gubernatora, dodał mi jakiegoś popa, niby umiejącego po francuzku, który przez ciąg mego pobytu w Kijowie, jak cień się za mną włóczył, a w niczém objaśnienia dać nie umiał: wreszcie przy odjeździe, żegnając mnie, żądał nadgrody: był on zupełnie mym stróżem, ale nie aniołem, bo potężnie mnie nudził i zatruwał chwile; gdziebym był chciał samotnie gubić się śród miasta, zatapiając teraźniejszość w dumaniu o przeszłości. Kijow, jak Rzym, jak Stambuł, jest miastem siedmiu wzgórzów, które pomiędzy sobą poprzerzynane parowami, zieleniejącemi się bujnie rosnącém drzewem, wiele mu dodają malowniczości. Charakter miasta zupełnie odrębny, inny od stolic środka Europy, które mniéj więcéj są sobie podobne: w Kijowie wszędzie przebija pierwiastek rusko-wschodni, głównie uderza w oczy architekturą cerkiewną, gdzie wszystko wyrachowane na zmysły, już powierzchownem bogactwem raźi, korzy człowieka. Główne trzy części miasta są: Peczarskie, Padół, a śród nich Stary Kijów; wszystkie trzy podmyte falami Dnipru. Budowle wszystkie, oprócz licznych cerkwi i fortecy, drewniane; nawet wielkie rządowe i prywatne pałace, które zwykle otoczone są małemi ogródkami. Ulice szerokie, czyste, po większéj części drewnianemi balami wykładane. Życie szczególniéj oberżowe, mało wygodne, a bardzo drogie. Ruchu dosyć, wszędzie jednakże najwięcéj popów się spotyka. Każdy przechodzień stroni bokiem ulic, dla prędkiéj jazdy powozów. Nie spotka się nigdy powozu parokonnego, tylko albo dorożkę jednokonną, których pełno publicznych i prywatnych, lub też karetę czterokonną z zwoszczykiem na przedniéj parze koni; między powozami rzadko się zdarzy przypadek, mimo szybkiéj jazdy; wszyscy się mają na ostrożności, bo policmejster wciąż biega jednokonną dorożką, za nim dwóch Kozaków konno; a skoro napotka powóz na lewo wymijający, zaraz każe ściągać woźnicę z kozła, i in loco delicti, towarzyszącym mu Kozakom, wisłemi nahajkami, tym perpetuum mobile miejscowém, karę wymierzyć. Byłem naocznym świadkiem kilku takich exekucyj. Na każdym rogu siedzi kacap; przed nim stół, na którym wiecznie dymiący samowar i czaj, którym się pośilają przechodnie. Krzyk na ulicach nieznośny; szczególnie nie ustają wrzeszczeć kacapy, obnoszący lody na głowach.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Rysy
do krajobrazu Polski aż do wieku XVIII.

(Dalszy ciąg.)

Lecz szczęśliwie ugaszono pożar i zgiełk się uciszył; powraca każdy do swojego zatrudnienia: sprzedaje, kupuje, bije dłonią w dłoń (1), oszukuje, sprzecza się i narzeka. Ten utyskuje na to, że chociaż w sukiennicy, gdzie kupno sprawiedliwie iść powinno, kupił sobie falendyszu (cienkie zagraniczne sukno); z łokci cztery kiedy go stąpił, ubył mu łokieć jeden (2). Tamten rozwodzi żale nad tém, że Szkoci i Niemcy trudniący się handlem po miastach, sprzedają towary jak sami chcą, bo ich nikt w téj mierze nie dogląda (3). Tu niewiasty targują i kupują szczotki, a kupują chętnie, bo rosłe i tęgie

(1) Klonowicza Flis 44
(2) Jeżowski, w ustępie Zima.
(3) Przysłowie: „Co Niemiec to kupiec,“ w gosp. jezdeck., Jeżowski, tamże.

chłopy sprzedają te towary, i proszą pięknie, ażeby je kupić (4).

Owdzie krajowy fabrykant zaleca sukno polskie i przekłada szlachcie, ażeby je raczéj niż kolońskie (z kolonii nad Renem) kupowała, bo inaczéj Włochy i Niemcy wszystkie pieniądze wywloką z Polski, tegoż samego doradza płóciennik, co ma płótno swojéj roboty. Owdzie srebrem, miedzią i cyną brząkają (5). Tym brzękiem, jak gdyby najpiękniejszą melodyą cudnego narzędzia muzycznego, ocucony ze snu lichwiarz idzie do okna, otwiera kwaterę i siedząc przypatruje się, co się tam dzieje. Wtém spostrzega najdroższego swemu sercu przyjaciela żydka, który uszargany, czerwonołby, w birecie i giermaku (w długiéj sukni chłopskiéj), z garbatym nosem, kroczy pomiędzy kupczącą i kupującą hałastrą, i jak papuga gardłuje kaczym głosem. Woła go lichwiarz i zaczyna rzecz o handlu. Usłużny żydek wydobywa podarunek z zanadrza, trąbkę szafranu, i podaje bogaczowi (6). Radzą o dużéj lichwie. Lichwiarz, będąc Katolikiem, miał za skrypuł brać wielkie procenty: dla tego téż ożenił się z kobietą inszéj wiary, ażeby ona je brała, a sam miał sumienie czyste (7). Owdzie znowu się krzyk daje słyszeć na rynku. Pochodzi on od siepaczy miejskich, którzy targowe wybierają. (8) Tam na rogu, gdzie sprzedawano czyste przezroczyste, wystałe wino, mające smak muszkatelowy, które lubiły białe głowy, słychać było gwar inszy. Podpajano tam niewiasty, chcąc je rychle przywieść ku rozmowie (9). Różne odzywały się głosy po inszych szynkowniach, mianowicie u Krzaczkowéj, gdzie dobry był Marzec (marcowe piwo), tudzież u Prassoła, gdzie szynkowano wyborne częstochowskie piwo (10). Owdzie na Smatruzie radzą krakowskie mieszczki. Zywą zajęte są rozmową, siedzące na samym wchodzie do kramów: iglarki, kaletniczki (11), pasniczki (12), i cukierniczki (13). Nie należały do rady garbarki, bo siedząc w samym środku kramów, najmniéj dosłyszeć mogły nowinek; także płócienne panie (14), do tych gawęd nie wdawały się bynajmniéj, pilnując towaru. O czémże przecie radzą te panie? Czy o przebiegłych Żydach, co to z Kazimirza od wielickiéj bramy i z rynku wdzierali się dla szacherstwa do krakowskiego miasta, przebywszy już glinianą fórtę, dzielącą Stradom od Krakowa? (15) Czy o złoczyńcy, którego wczoraj świecką ulicą wyświecono z miasta (16). Bynajmniéj; one radzą o polityce. Wszystkie nowości wiedzą nadesłane do króla polskiego z Rzymu, z Hiszpanii, z Moskwy, z Inflant, ze Szwecyi. Wiedzą o nich od mężów swoich, którzy w szynkowniach *pod Kożuchem*, *pod Niedźwiedziem*, u Rozdziałki na ulicy świeckiéj, o wszystkiem, co ważnego zaszło w świecie, dokładną brali wiadomość i żonom swoim donośili, ażeby te, gdy targu nie będzie, miały się czém zabawiać, napiwszy się gorzałki (17).

(Dalszy ciąg nastąpi.)

(4) „Większa d... niżeli chłop, wielkie jak glewia (dzida),“ mówi Dzwonowski w niepospolitem ruszeniu.
(5) Bielski, sejm 18. Serykowski goniec, 7. Jeżowski, tamże.
(6) Klonowicza Worek jud. 103.
(7) Gabr. Leopolita w Kazaniu naszego chleba.
(8) Bielski sejm 23.
(9) Rej, Wiz 40.
(10) W broszurach wyprawa plebańska i Rybałt wędrowny.
(11) Kalety, trzosy jerchowe sprzedające.
(12) Sprzedające pasy.
(13) Co biskupki (rodzaj cukierków) i pierniczki sprzedają.
(14) Co sprzedają płótna.
(15) Bielski kron. str. 496.
(16) Ztąd też i nazwisko ulicy. Paprockiego herby str. 54.
(17) Dosłownie wyjęto z kiermaszu wieśniackiego, i Bielskiego sejmu niewieściego.

Modlitwa.

Królowo niebieska! Opiekunko ziemi,
Matko Zbawiciela, i my dziećmi twemi.
Ulgo nieszczęśliwych, co pod twoje nogi,
Swe modły zanoszą! Niechaj twój Syn drogi,
Przyjmie nasze prośby, składane z ufnością;
A chociaż przejęci naszą niegodnością.
Z trwogą przystępujem do twoich ołtarzy,
Nie zamykaj serca, nie odwracaj twarzy,
Ty najczystsza z Matek, Maryo wsławiona,
Choć występne dzieci, nie odrzucaj z łona!
Wyznajem, że grzechy ciężkie, ustawiczne,
Naszych cierpień źródłem. Choć cierpienia liczne,
Obroń duszę naszę prośbami twojemi,
Byśmy potępieni grzechami naszemi,
Na wieczne wygnanie nie byli skazani.
Uproś nam u Syna miłosierna Pani,
Dla nas, co go czcimy, poprawę żywota,
Poznanie, co prawda, obowiązek, cnota.
Niech cierpliwie naszym bólom towarzyszy;
Niechaj ten, co cierpi, nie szemrze, nie grzeszy;
Niech pomoc Jezusa przy każdém zdarzeniu,
Opieka w przypadkach, pociecha w cierpieniu,
Moc będzie w pokusach! Oby Jego siła,
Umacniając w życiu, przy zgonie broniła;
Uproś to nam Matko niezmiernéj litości,
Abyśmy sięgając wiecznéj szczęśliwości,
Przez Cię wyjednanéj, wdzięczni Twéj opieki,
Weselić się mogli z Jezusem na wieki,
Tam, gdzie on z Ojcem żyje i króluje,
I wraz z Duchem świętym na wieki panuje.

N . . . a.